

Edward Białek.

Wspomnienia z pierwszej ofensywy na Warszawę Październik 1914 r.

Wydzielony nad Wisłą baon II, działający samodzielnie pod dowództwem ob. Norwida-Neugebauera, forsownymi marszami podążał w czasie ofensywy pod Warszawę. Stanowił on wyborowy materiał żołnierski, złożony z kompanii 1 — ob. Kordiana Monasterskiego (oddziały strzeleckie z Rzeszowa), kompanii 2 — ob. „Ignaca” (oddziały z Nowego Sącza), kompanii 3 — ob. „Pogonią” — Dunina (z Żywca i okolicy) i kompanii 4 — Zakopiańskiej z ob. Olszyną-Wilczyńskim na czele.

Serdecznie witano nas w Radomiu.

Śpiewamy: „Naprzód drużyno strzelecka”... Świłała nam myśl wkroczenia do Warszawy, gdzie mieliśmy reprezentować tworzące się Wojsko Polskie. Taborzy znów utknęły gdzieś w drodze — maszerujemy zdrowo i maruderów mamy bardzo mało. Już od Grójca wyczuwamy bliskość frontu. Widzimy pośpiesznie podążających na pozycje Niemców, których od pikelhauby przezywamy „śmiecieszkami”, oglądamy spalone domostwa i żałośnie sterczące kominy. Dokucza nam głód. Klنیemy Ferdka Bagierka, że lak ciągle marudzi z taborem kompanijnym.

Po drodze mój „sitwes” Staszek Górny często zagląda do mojej kawy w manierce. Przybywamy na nocleg; znużony rzucam się na słomę — momentalnie zasypiam. Teraz za to Staszek pilnie skrobie kartofle i koło północy budzi mię do kolacji. Z niechęcią wstaję, po zjedzeniu zaraz kładę się ponownie. Rano przez Mszczonów, Skierniewice omijamy Warszawę, by na noc stanąć w Bełchowie.

Rankiem 21 października 1914 r. stajemy na zbiórkę w szeregu w pełnym rynsztunku. Rybarski-„Słowacki”, d-ca plutonu w krótkich słowach wyjaśnił nam, że w każdej chwili możemy spotkać się z nieprzyjacielem i że należy być gotowym do walki.

Poza tym zwrócił się do nas, żołnierzy I-go plutonu 3 kompanii z zapytaniem: „Kto chce na ochotnika iść na patrol?” Na komendę „wystąp” cały pluton wystąpił o jeden krok naprzód. Śmieje się Rybarski i mówi: „To za dużo, tylu nie potrzeba”.

Wobec tego wyznaczam na patrol pierwszą sekcję, a prowadzi zafrontowy Szafrański Stefan.

Wywołanym na bok wydał stosowne polecenia i objaśnienia. Występuje z szeregu Bolek, brat Szafrańskiego i prosi o pozwolenie pójścia także z bratem, ale Rybarski nie zgadza się i każe mu wstąpić do szeregu. Obejmuje komendę nad sekcją Stefan Szafrański. Na komendę „wystąp” i „rynsztunek zdejm” Białek, Górny, Gąszczecki, Gancarz, Koszykiewicz i Wandzel — zrzucamy tornistry, zabieramy chlebaki, do nich chleb i naboje. Żwawo i z zadowoleniem spełniliśmy rozkazy i opatrzywszy karabiny, po założeniu bagnetów i zabranii niezbędnych przedmiotów, wyruszamy w kierunku Nieborowa. Początkowo w kolumnie dwójkowej maszerując, mijaliśmy to pojedynczych kawalerzystów niemieckich, to znów oddział w sile pół szwadronu, spiesznie wycofujący się ku Bełchowu. Wyczuwamy już, że znajdujemy się w pobliżu nieprzyjaciela. Stefek Szafrański objaśnia nam: „mamy zbadać, czy Moskale sforsowali Bzurę, czy zajęli Bednary i mniej więcej w jakiej sile”. Idziemy dalej.

Za Nieborowem spotykamy mijający nas oddział konny niemiecki, wycofujący się za Nieborów. Zobaczywszy nas, przyszli krzycząc: „In Bednary sind die Russen” a oficer niemiecki mówi Szafrańskiemu: „Bednary gefangen, die Russen”.

Ale Szafrański powiada: „rozkaz jest rozkaz” i na drodze przerobił jeszcze z nami parę chwytów: „Na ramię broń! Prezentuj broń! Do nogi broń!” i tak parę razy. Potem schodzimy na bok i posuwamy się w odległości mniej więcej 5 kroków jeden od drugiego po obu stronach drogi. Mijając, penetrujemy we dwójkę Julianów, nie zauważając nic szczególnego, jedynie potwierdzają

się otrzymane po drodze wiadomości o zajęciu Bednar, widzimy przed sobą tor kolejowy, przy którym dołączamy do reszty patrolu.

Za torem Szafrański robi szkic sytuacyjny, my obserwujemy przedpole, podając mu niezbędne szczegóły. Wreszcie meldunek gotów. Poniesie go Górny, który wraca do kompanii, a my posuwamy się naprzód.



Kapliczka-pomnik w Bednarach.
Na prawej tablicy znajduje się następujący napis:

*Kało Piątaków I Brygady Józefa Piłsudskiego
Towarzyszom broni w 1914 poległym, w pobliżu
tej kaplicy z Żywca*

ś. p.

Gąszczecki Henryk - ur. 1893 roku

Wandzel Karol - ur. 1892 roku

Zmarli z ran

Szafrański Stefan

Koszykiewicz Mieczysław

Z prawej strony widzimy oddział kawalerii zmierzający do drogi, którą kroczymy; ktoś za mną mówi: „pewnie Niemcy”, ktoś inny nieśmiało: „może Moskale”.

Dzień był pochmurny, jesienny, po deszczu i dlatego trudno było odróżnić szczegóły. Mniemaliśmy, że pewno jeszcze jeden patrol niemiecki się wycofuje.

Z prawej strony zza gaju drzew, od kępiny wysuwa się następny oddział kawalerii. W tej chwili któryś z kolegów krzyknął: „Rany Boskie, przecież to Moskale”. Pierwszy oddział Kozaków już zbliżył się ku nam o jakieś 200—300 metrów.

Przystajemy... Karabiny do oka i salwami strzelamy, jeden raz, drugi, trzeci, czwarty... Skłębilo się w kolumnie i szpica zwiewa w nieładzie.

My wycofujemy się biegiem, strzelając bez przerwy, po drodze w biegu repetuję. Szafrański wola: „Wycofujemy się tak, aby Górny mógł dojść z meldunkiem do kompanii”.

Kule świszczą koło uszu. Przed torem kolejowym jeszcze z kolana strzelamy szybko salwami.

Spadają jeźdźcy, biegają luźne konie. Widzimy, że rozwinięta w tyralierę reszta jazdy otacza nas skrzydłem, przekraczając tor. Mam już tylko naboje w magazynie karabinu. Skokami biegniemy z powrotem przez tor.

Przy drodze widać kapliczkę i chaty Julianowa. Jesteśmy zmęczeni i pot zalewa nam oczy. Postanawiamy wobec niemożności wydostania się z matni bronić się obok tej kapliczki do ostatka. Strzelamy dalej.

Słyszę krzyk chwiejącego się Koszykiewieża: „Koledzy, jestem ranny”. Biegniemy, podciągamy go bliżej. Pada od kuli Szafrąński. Wpada na nas z wyciem „ura, ura” czerń kozacka. Pada cięży w głowę szablą Gancarz.

Słyszę „zdajsia”. Odbijam karabinem skierowane do mnie lance, ale od mocnego pchnięcia w pierś i w zęby przewróciłem się.

Przewala się po mnie czerń. Migają podkowy kopyt skaczących koni... Wszystko kłębi się. Nagle uklucie gdzieś w biodrze... lulka strzałów, rozlewające się po plecach ciepło i bezwład ciała...

Po chwili na odgłos salwy karabinowej jeźdźcy zeskoczyli z koni i leżąc za nami zaczęli odpowiadać w kierunku strzałów. Każdy huk strzału łączył się z wewnętrznym wstrząsem i szumem w uszach. Wreszcie huk jeden, drugi, trzeci — artyleryjskie pociski zaczynają ponad nami szybować ze świstem i skowytem „wściekłego psa”. Lecz i z drugiej strony wtóruje seriami ogień artylerii...

Leżę na przedpolu; przez niedomknięte powieki widzę zwisające na zagonie ciało kolegi, którego rozpoznać jednak nie mogę. Słyszę gdzieś blisko człapanie kopyt końskich; przyciskam twarz do ziemi i leżę nieruchomo z zarzuconą ręką ponad głowa. Pa, pa, pa, pa, pa, pa... słyhać dalej strzelaninę i tuż obok sapanie.

Ktoś pochyla się nade mną, szarpnięciem za pas odwraca mnie twarzą do góry i majstruje coś koło klamry pasa starając się go rozpiąć.

Wstrzymałem oddech, leżąc bezwładnie. Ktoś otworzył zamek pasa, rozpiął płaszcz i obszukawszy kieszenie zabrał zegarek, scyzoryk, dzienniczek z notesem, listy, portmonetkę... .

Odsuwa się i słyszę głos w pobliżu: „Wot sobaka. Imiejiet czornyj chlib i bielyj chlib”, to Wandzel czy też Szafrąński z powodu nienadejścia taboru kompanijnego Bagierka zafasowali chleb z wypieku.

Nareszcie uciszyło się. Odetchnąłem z ulga.

Leżąc dość długo spływałem krwią i osłabłem, majaczyłem w półśnie. Zdawało mi się, że przygotowujemy się do wymarszu z Żywca. Stoją strzelcy ustawieni plutonami w czworobok. Z boku sztandary stowarzyszeń, cechów i bractw. Przed pierwszym plutonem kompanii stoi Rybarski-„Słowacki”, składa przyrzeczenie, że wróci do wolnej Polski, lub zginie. Żegna nas przemową przedstawiciel miasta. Gdy ktoś zaintonował pieśń za umarłych „Witaj królowo nieba”..., ogólny szloch podniósł się wokoło. Poznaje, jak zawodzi, stojąca za mną siostra Ludwisia. Widzę matkę... Stoi cicho... Łzy tylko spływają spod powiek po policzkach... Już pożegnałem ich spojrzeniem, gdy pada rozkaz. Zwijamy się w kolumnę czwórkową i maszerujemy w kierunku na Stary Żywiec w takt orkiestry.

Mijamy ulice obsypywani po drodze kwiatami. Stefan Szafrąński chwyta czarny bławatek i mówi smutnie: „już pewnie nie wrócę”. Ja dostałem czerwono-biały i myślę z nadzieją: „może będę ranny”. I tak wróżyliśmy sobie w drodze wzajemnie.

Straub gra nam na trąbce. Śmieje się w międzyczasie Michał Mrowiec: he, he, he, he,... Straub — „piórcyłybs”. Schodzimy ku dolinom, by zdążyć na punkt koncentracyjny przez Zator do Krzeszowic, śpiewając: „Hej strzelcy wraz”.... „Hej tam od góry”...

To znów w Gręboszowie maszerujemy w plutonie pogrzebowym z Koszykiewiczem, Wandzlem i

Gancarzem przed trumnami poległych pod Czarkową.

Smutno mi było umierać daleko i leżeć zapomnianym gdzieś w polu i zapragnąłem, by choć po śmierci móc spocząć na cmentarzu żywieckim.

„O Boże — a ten tu nawet katolik!”... jakiś głos przerwał moje majaczenia. Uniosłem głowę wyżej, słysząc polską mowę; chłop jakiś ze zdziwieniem przyglądał mi się, a gromada wyrostków nachyla się nade mną mówiąc: „O żyjeta człowieku i bardzoście raniony?” „Gdybym dostał się do swoich, to bym może się wyleczył” — mówię. „Cichojsza — zara to jako zrobimy”

i podrapawszy się po głowie, wziął mnie za ramiona, ktoś mu jeszcze pomagał nieść za nogi i tak ponieśli mnie do najbliższej chałupy (Julianny Sosnowskiej, żony Ignacego, który powołany był do służby w armii rosyjskiej). Zakrzętnął się wnet Chojecki i sprowadził gospodarza Fiutkowskiego, sanitariusza z armii rosyjskiej, który opatrzył mi rany bandażem, udartym z ofiarowanej przez Sosnowską koszuli. Ta sama poczęstowała mnie potem napojem i jadłem.

Na moje prośby, aby zobaczył, czy może który z kolegów jeszcze żyje, odpowiedział mi, że leży kilku na polu, ale zabici. Prosiłem więc, by przyniósł choć cokolwiek z ich rzeczy, jakie mają przy sobie.

Poszedł Chojecki i przyniósł książeczkę do nabożeństwa, ale nie wiedziałem do którego z kolegów należała.

Nadeszła noc. Domownicy zabierali się do spania, gdy gwałtowne szczekanie psa i dobijanie się do drzwi zmusiło do otwarcia domu przez parobka, a załęknioma Sosnowska wzięła garniec z mlekiem i chleb i wyniosła do sieni.

Po pewnym czasie znów ujadanie psa zwiastowało niepożądanych gości. Zaniepokojony parobek nie chciał iść otwierać, ale gospodyni z 8-letnim synkiem wyszła do sieni. Po chwili wtoczył się do izby umazany krwią Koszykiewicz. Krzyknąłem: „to ty Mietek!” „() Edek — jęczał popatrz jak mnie poharatali. Zęby lancą wybite, nogi przestrelone i jeden wbił mi lancę w pachwinę.”

Zaambarasowana Sosnowska wysłała Fiutkowskiego, który po przyjściu opatrzył rany Koszykiewicza. Ułożono go na drugim łóżku bliżej okna i dano mleka do picia.

Nawiązała się pomału rozmowa, gdyż Sosnowska ciekawa była, jakie to wojsko, co po polsku mówi i do tego katoliki.

Długo tłumaczyliśmy, nim wyjaśniliśmy jej, że tworzy się wojsko polskie z komendantem Józefem Piłsudskim na czele.

Gorączka mnie zmogła, miejsca od ran napuchły...

Słysząc znów pukanie do okna. Ociągając się wyszedł parobek, a za nim Sosnowska. Po powrocie powiedziała nam, że znów była „rozwiadka” rosyjska, szukająca nieprzyjaciela i że pojechała w stronę Nieborowa.

Nie orientując się co do położenia sił nieprzyjaciela, na nasze prośby chodził Chojecki do księdza, aby przyszedł do nas, ale powrócił z niczym. Wobec tego prosiliśmy, żeby wystarał się o jakąś furmankę, którą po pewnym czasie nam sprowadził. Jeszcze raz prosiłem, by zobaczył, czy który jeszcze żyje, ale powiada Chojecki: „ino dwóch leży zabitych pod kapliczką”. Włożono nas potem na drabiniasty wóz wymoszczony słomą, głowami na zewnątrz, zakrywając nas słomą od góry, a furman powiózł nas przez jakieś zagony i wertepy, bo co chwila kołyszający się z boku na bok wóz sprawiał nam dotkliwy ból od ran.

Po pewnym czasie wyjechaliśmy na drogę, a po przejechaniu już sporego kawału wóz stanął i słyszymy jakieś głosy w języku niemieckim.

Robimy w słomie miejsce, unosimy się zaciekawieni — niemieccy kawalerzyści pochylają się nad wozem i wypyują nas.

Po wyjaśnieniu jedziemy jeszcze i dojeżdżając do Nieborowa widzimy że na drogę weszła kompania niemiecka, a przystanąwszy od strony Bednar — złożyła w kozły broń.

Zajeżdżamy przed pałac w Nieborowie. Wszędzie pusto, nie widać żywego ducha. Po chwili zjawia się właściciel pałacu, a za nim gospodyni, która częstowała nas gorącą kawą i chlebem z masłem,

ale na odgłos strzałów i przemykających za bramą sylwetek jakiejś kawalerii ucieka do kuchni, a za nią o dziwo, o własnych siłach Koszykiewicz.

„Niech pan tu nie wchodzi, ho nie chcę widzieć, jak będą panów dobijali” — mówiła gospodyni. Mietek nie daje za wygraną i przemocą wepchnął się do środka, gdy strzały ucichły, ułożono go z powrotem na wozie.

Pojechaliśmy dalej. Przejeżdżając przez Bełchów, mijamy stojącego na warcie Adolfa Szuberta, który zauważywszy nas narobił szumu i przybiegł uradowany do wozu z Ludwikiem Perskim. Zrobił się ruch w kompanii. Nadszedł porucznik „Pogoń”, któremu zdaliśmy raport o zdarzeniach patrolu i położeniu nieprzyjaciela.

Pożegnaliśmy się serdecznie z kolegami i odjechaliśmy w stronę Skierniewic. Pod Skierniewicami przed stacją skręciliśmy w bok, gdzie na bocznicy stał ostatni jeszcze ewakuacyjny pociąg. Załadowali nas nader uprzejmie Niemcy do pociągu, przy czym doktor po raz pierwszy nałożył nam opatrunki należyte, gdyż miejsce, gdzie kula przeszła mi biodro, krwawiło z braku opatrunku. Nazywali nas „die polnische Jungsclutzen“, chcieli nas zawieźć do Grudziądza. gdzie obiecywali odznaczenie żelaznym krzyżem.

Pojechaliśmy jednak nocą przy zgaszonych światłach do Piotrkowa, gdzie po postoju z powodu wzmożonego ruchu i ewakuacji miasta przez Niemców ruszyliśmy następnej nocy do Częstochowy, a stamtąd do szpitala w Boguminie na Śląsku.

Nie koniec jednak losów uczestników patrolu pod Bednarami. Według osobistych zwierzeń, Stefan Szafranski z przestrzelonymi płucami dostał się do niewoli rosyjskiej, lecz szpital został odbity przez wojska niemieckie, które wywiozły go do jednego ze szpitali w Niemczech, gdzie po roku zmarł.

Koszykiewicz Mietek wstąpił ponownie do Legionów i został znów ranny pod Przepiórowem i po tej ranie zmarł.

Jak podają zgodnie Górny i Gancarz, obaj ciężko ranni wzięci do niewoli, Rosjanie ponieśli o wiele większe straty, bo sami obliczali je na 20 zabitych i 9 rannych.

Po potyczce pod Bednarami Rosjanie cofnęli się do majątku za Kapiną, zabierając ze sobą rannego od cięcia szablą w głowę Antoniego Gancarza. Również i Staszek Górny broniąc się do ostatka, 11-krotnie ranny, dostaje się do niewoli, po czym wywieziony został do szpitala w Warszawie, a następnie na Syberię.

Poległych pod Bednarami Wandzia i Gąszczeckiego pogrzebano przy drodze obok kaplicy.